KRZYSZTOF PERSAK, BEP IPN

# IPN – POWINNI TEGO ZABRONIĆ!

**Niewątpliwie działalność IPN nie jest doskonała, a krytykowana przez Andrzeja Romanowskiego ustawa o IPN ma wiele wad. Można by zapewne napisać równie długi artykuł krytykujący sposób funkcjonowania IPN. Jednak to, co napisał Romanowski (*IPN – bezprawie i absurd*, „Gazeta Wyborcza", 25–26 IX 2004 r.), jest krytyką nierzetelną i głęboko nieuczciwą. Jego artykuł to nawet nie pamflet, to paszkwil.**

Tekst Romanowskiego jest wściekłym atakiem na Instytut Pamięci Narodowej, dotyczącym wszystkich aspektów działalności tej instytucji. Argumentacja autora jest w większości tendencyjna i demagogiczna. Nie cofa się on przed manipulacją, podawaniem fałszywych danych, zestawianiem wyrwanych z kontekstu cytatów i przekręcaniem ich sensu. Wielokrotnie formułuje gołosłowne oskarżenia IPN o łamanie prawa, nie wskazując konkretnych przykładów ani nie wyjaśniając, jakie przepisy prawa i w jaki sposób miałyby być jego zdaniem naruszone. Zabiegi mające na celu zdyskredytowanie IPN autor stosuje często już na poziomie używanego języka. Wielokrotnie w miejsce rzeczowych argumentów używa wykrzykników i dramatycznej (acz przy bliższym oglądzie – nielogicznej) retoryki. Nie cofa się też przed sformułowaniami po prostu obraźliwymi dla Prezesa i pracowników IPN. Co znamienne, w swoim zacietrzewieniu autor stosuje niejednokrotnie argumentację wewnętrznie sprzeczną. Niektóre jego zarzuty są tak pokrętne, że niezrozumiałe.

## „Dzika lustracja"

Autor wielokrotnie twierdzi, że działalność IPN prowadzi do „dzikiej" i „bezprawnej" lustracji. Przypuszczam, że Romanowski celowo używa tego wywołującego różne emocje określenia dla zdyskredytowania IPN. Utożsamianie udostępniania przez IPN akt komunistycznych organów bezpieczeństwa[1] z lustracją jest argumentem chybionym, a mówienie o „IPN-owskiej lustracji" – nadużyciem. Obie instytucje rządzą się innymi prawami i służą innym celom. Zasadniczym przedmiotem procesu lustracyjnego jest nie tyle fakt współpracy z SB (to sprawa wtórna), ale kłamstwo na temat tej współpracy popełnione przez osobę zobowiązaną przez prawo do jej ujawnienia. Negatywne konsekwencje prawne (utrata pełnionego stanowiska i utrata zdolności do zajmowania stanowisk publicznych przez 10 lat) wiążą się właśnie z ewentualnym kłamstwem i dlatego sprawa jest rozstrzygana na gruncie postępowania karnego oraz procesu sądowego. Sama współpraca z SB nie jest – z punktu widzenia prawa – oceniana negatywnie i nikt z tego powodu nie ponosi konsekwencji. Nie ma więc powodu, aby kwestia ewentualnej współpracy agenturalnej osób niepełniących stanowisk określonych w tzw. ustawie lustracyjnej była rozstrzygana z zastosowaniem rygorów postępowania karnego. Osobie pomówionej o współpracę agenturalną służą nato-

[1] Dalej, na zasadzie *pars pro toto*, będę posługiwał się skrótem SB. Należy jednak pamiętać, że IPN udostępnia dokumenty wytworzone zarówno przez „cywilne", jak i wojskowe organy bezpieczeństwa państwa (m.in. UB, SB, Informację Wojskową, WSW), a także akta sądowe i prokuratorskie.

miast środki prawne określone w przepisach kodeksu cywilnego regulujących ochronę dóbr osobistych.

IPN udostępnia osobom inwigilowanym/rozpracowywanym przez SB („pokrzywdzonym" – termin użyty w ustawie jako określenie tych osób) dotyczące ich dokumenty, a na ich żądanie ujawnia tożsamość agentów, którzy na nie donosili, oraz funkcjonariuszy SB, którzy je rozpracowywali. Romanowski oburza się na to, że „nic nie jest tajne", że pokrzywdzeni „mogą czytać akta w IPN, wyciągać wnioski, poznawać wszelkie nazwiska" oraz że nie ma zakazu, aby poznane informacje upubliczniali. Należy powiedzieć wprost, że tak jest w istocie i na tym właśnie – między innymi – polega sens istnienia IPN. Taki był wyraźny i świadomy zamiar ustawodawcy. I jest to rozwiązanie słuszne.

Ponieważ Andrzej Romanowski – poza słowami świętego oburzenia – nie tłumaczy, na czym polega nieprawidłowość tego rozwiązania, a zwłaszcza, jak jego zdaniem być powinno, trudno zrozumieć istotę jego zarzutu, a tym bardziej z nim polemizować. Należy jednak rozważyć implikacje kwestionowania przez autora rozwiązań przyjętych w art. 32 ustawy o IPN[2]. O co właściwie chodzi Romanowskiemu?

Czy autor w ogóle sprzeciwia się udostępnianiu osobom, które były obiektem inwigilacji/rozpracowania przez SB, dotyczących ich dokumentów? Ma do tego dobre prawo, ale jeśli tak, powinien swój pogląd sformułować wprost. Takie stanowisko byłoby jednak niesłuszne. W demokratycznym państwie obywatele mają prawo do prawdy, mają prawo poznać informacje, jakie na ich temat zbierały organy represji państwa totalitarnego. I nie jest to „wynalazek" polski, ale zasada przyjęta przez wspólnotę międzynarodową. W 1997 r. na zlecenie UNESCO Międzynarodowa Rada Archiwalna opraco-

[2] Art. 32 ust. 1 ustawy o IPN stanowi: „Jeżeli w istniejących i dostępnych dokumentach, w które pokrzywdzony miał wgląd lub otrzymał ich kopie, znajdują się nazwiska funkcjonariuszy, pracowników lub kryptonimy współpracowników organów bezpieczeństwa państwa, którzy zbierali lub oceniali dane o nim, lub tych, którzy prowadzili tych współpracowników, to – na żądanie pokrzywdzonego – należy mu podać nazwiska oraz dalsze dane osobowe tych funkcjonariuszy, pracowników i współpracowników, jeżeli można je jednoznacznie określić na podstawie dokumentów danego organu bezpieczeństwa. Przepis ten stosuje się również do innych osób, które denuncjowały pokrzywdzonego".

wała standardy postępowania ze spuścizną archiwalną organów bezpieczeństwa upadłych reżimów represyjnych. Raport na ten temat podkreśla m.in. prawo obywateli do prawdy, w tym prawo do pełnej wiedzy o działalności organów represji; prawo obywateli do identyfikacji osób odpowiedzialnych za przestępstwa przeciwko prawom człowieka; prawo do historycznych badań naukowych[3]. Czyżby autor chciał kwestionować te pryncypia?

Odnoszę wrażenie, że w tle oburzenia Romanowskiego pobrzmiewa dezaprobata dla tych pokrzywdzonych, którzy chcą się zapoznać z materiałami SB na swój temat i chcą się dowiedzieć, kto na nich donosił. To kwestia bardzo indywidualna – dla niektórych ludzi jest to ważna sprawa, inni w ogóle nie czują takiej psychicznej potrzeby. Jednak czynienie zarzutu ludziom, którzy chcą skorzystać ze swojego prawa do prawdy, wydaje mi się nieprzyzwoite.

Być może autor jest przeciwny tylko temu, by na żądanie pokrzywdzonych podawano im dane donosicieli i ubeków? Czy jednak można odmówić pokrzywdzonym prawa do wiedzy na ten temat? Jak powiedziano powyżej, mają oni do niej moralne prawo. Nawet jednak gdyby IPN nie miał obowiązku rozszyfrowywania pseudonimów tajnych współpracowników SB, jest rzeczą niewątpliwą, że w bardzo wielu przypadkach z samej treści dokumentów – zestawiając ją z faktami z własnego życiorysu – pokrzywdzeni mogą ustalić tożsamość donosicieli. I nikt nie może im zabronić, by tą wiedzą dzielili się z innymi. Aby to wykluczyć, należałoby w ogóle odmówić pokrzywdzonym prawa do wglądu w dokumenty. Wydaje się więc, mimo wszystko, lepszym rozwiązaniem, jeżeli tożsamość tajnych współpracowników będzie (na żądanie pokrzywdzonych – przymusu nie ma!) weryfikowana przez IPN na podstawie dostępnej dokumentacji niż pozostawiona domysłom. Zgodnie z art. 32 ustawy informacji takiej można udzielić, jeżeli tożsamość danej osoby (tajnego współpracownika lub funkcjonariusza SB) można ustalić bezspornie. Nie wyobrażam sobie, by wykonując ten przepis ustawy, archiwiści IPN działali pochopnie. W tej dziedzinie – znając logikę działania urzędu państwowego – należy raczej spodziewać się podejścia asekuranckiego niż ryzykanckiego.

Trzecią implikacją wypływającą z przeprowadzonej przez Romanowskiego krytyki byłoby wprowadzenie zakazu upubliczniania przez pokrzywdzonych wiedzy, jaką powzięli z udostępnionych im dokumentów SB (względnie zakazu dotyczącego tylko informacji na temat tożsamości tajnych współpracowników i funkcjonariuszy SB). Oznaczałoby to, że wymaga się od ludzi, będących ofiarami komunistycznego aparatu represji, aby dziś stali się strażnikami tajemnic bezpieki! Taki hipotetyczny postulat byłby w oczywisty sposób nieprzyzwoity i niemoralny. Pokrzywdzeni – jeśli czują taką potrzebę, a ich sumienie się temu nie sprzeciwia – mają prawo głośno powiedzieć, kto ich denuncjował i kto ich represjonował. Romanowski nazywa to „donosicielstwem", zrównując tym samym ofiary systemu z delatorami. Jest to argumentacja obrzydliwa i oburzająca.

Krytykując zasady pozwalające pokrzywdzonym poznać nazwiska donosicieli, Romanowski daje przykład dramatycznego losu swojego wuja, Stanisława Dydo, żołnierza AK i WiN, straconego po wojnie z wyroku komunistycznego sądu, który złamany torturami podpisał w więzieniu zobowiązanie współpracy z UB, ale w rzeczywistości nigdy jej nie podjął. Czy wuj – pyta dramatycznie Romanowski – nie miałby dziś kłopotów z ipeenowską lustracją? Co by było, gdyby jego akta ujrzał dziś „pokrzywdzony w rozumieniu ustawy"?

Pomijając już kwestię, moim zdaniem tendencyjnego, posługiwania się przez autora pojęciem „ipeenowskiej lustracji", należy zauważyć, że argumentacja Romanowskiego jest z grun-

[3] *Archives of the Security Services of Former Repressive Regimes: Report prepared for UNESCO on behalf of the International Council of Archives*, red. Antonio Gonzalez Quintana, Paris 1997 (http://www.unesco.org/ webworld/ramp/secret_english.htm).

tu fałszywa i demagogiczna. Otóż po pierwsze, pokrzywdzeni otrzymują do wglądu akta dotyczące ich samych, a nie innych osób represjonowanych. Po drugie zaś, skoro Stanisław Dydo nigdy nie podjął współpracy z UB, nie powstały sygnowane jego pseudonimem donosy. Nie mogłaby więc zdarzyć się sytuacja, w której jakiemuś pokrzywdzonemu podano by jego nazwisko jako donosiciela. Po trzecie wreszcie, czy zdaniem Andrzeja Romanowskiego wolno ujawniać fakt podjęcia przez kogoś współpracy z organami bezpieczeństwa czy nie? O losie swego wuja autor dowiedział się przecież nie skądinąd, tylko z biogramu Stanisława Dydo autorstwa Tomasza Balbusa, ogłoszonego w wydanym przez IPN słowniku biograficznym *Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944–1956*.

Autor podnosi larum, że „nic nie jest tajne" (cytowaną frazę złożono w tekście wielkimi literami). Jak sądzę, chodzi mu przede wszystkim o dane identyfikujące tajnych współpracowników i funkcjonariuszy SB. Abstrahując od aktualnego stanu prawnego (o czym poniżej), należy zapytać: a dlaczego te informacje miałyby być dziś tajne? Jakie racje za tym przemawiają? Współpraca z komunistyczną policją polityczną służyła zniewoleniu społeczeństwa i nie była niczyją prywatną sprawą. Owszem, ujawnianie tożsamości donosicieli SB może być dla nich bolesne, ale trudno oczekiwać, by było inaczej. Nie ma natomiast racjonalnego powodu, by po upadku systemu komunistycznego tajemnice bezpieki były nadal chronione przez prawo demokratycznego państwa. Byłoby zrozumiałe, gdyby o tajność dokumentów bezpieki upominał się generał Kiszczak. Dlaczego jednak czyni to Andrzej Romanowski?

W Niemczech przeszłość pracowników mógł sprawdzić każdy pracodawca. W Czechach lista agentów StB została ogłoszona drukiem, a słowacki Instytut Pamięci Narodu zapowiedział umieszczenie ich nazwisk w Internecie. Nie zawaliło się od tego ani państwo niemieckie, ani Republika Czeska. Andrzej Romanowski szantażuje zaś czytelnika wizją bliżej nieokreślonego nieszczęścia, jakie miałaby sprowadzić na Polskę działalność IPN.

Co znamienne, autor artykułu w wygodny dla siebie sposób nie zauważa, że krytykowany przez niego przepis art. 32 ustawy o IPN, normujący uprawnienie pokrzywdzonych do żądania informacji o tożsamości donosicieli i funkcjonariuszy SB zaangażowanych w represje przeciwko nim, jest niemal dosłownym powtórzeniem analogicznej regulacji zawartej w niemieckiej ustawie o aktach Stasi (art. 13 ust. 5 Stasi-Unterlagen-Gesetz). Przyjęcie takiego rozwiązania przez polskiego ustawodawcę niewątpliwie nie było przejawem dążenia do „dzikiej lustracji", ale świadczy o chęci oparcia się na sprawdzonej i niekwestionowanej konstrukcji prawnej.

## „Bezprawie" IPN

Krytykując zasady udostępniania dokumentów pokrzywdzonym, Romanowski kilkakrotnie powołuje się na art. 54 ustawy o IPN i stwierdza ze zgrozą, że „dane osobowe obywatela mogą być ujawniane bez jego zgody". W ten sposób autor ustawia sobie IPN w pozycji chłopca do bicia. Taki zabieg świadczy o nieznajomości prawa lub świadomej manipulacji.

Romanowski przedstawia sprawę tak, jakby owo wspomniane w art. 54 ustawy ujawnianie danych bez zgody zainteresowanego miało dotyczyć wszystkich obywateli. To jawny fałsz. W rzeczywistości bowiem art. 54 ustawy jest przepisem karnym dotyczącym byłych tajnych współpracowników i funkcjonariuszy SB, którzy podszywając się pod pokrzywdzonych, chcieliby podstępem wydobyć z akt IPN informacje, do których uzyskania nie są uprawnieni[4]. Abstrahując od

[4] Art. 54 § 3 ustawy o IPN brzmi: „Kto w celu uzyskania informacji udzielanych pokrzywdzonemu na podstawie przepisów ustawy podaje nieprawdę lub zataja prawdę wiedząc, że dotyczą go okoliczności, o których mowa w art. 6 ust. 3, lub że jego dane osobowe mogą zostać ujawnione na podstawie ustawy bez jego zgody, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 3".

zasadności stosowania w takim przypadku represji karnych (co budzi moje wątpliwości), należy stwierdzić, że przepis ten – wbrew sugestii autora – wcale nie służy określeniu procedury udostępniania pokrzywdzonym danych tajnych współpracowników i funkcjonariuszy SB. Ta kwestia jest w bardziej szczegółowy sposób unormowana w innych przepisach ustawy. Również w innym miejscu określono zakres i tryb ochrony danych osób niebędących TW ani funkcjonariuszami (tj. innych pokrzywdzonych i osób trzecich). Nie jest więc tak, jak suponuje Romanowski, że panuje w tej kwestii pełna dowolność. Autor jednak przemilcza istnienie w ustawie o IPN bardziej szczegółowych (i niekiedy rygorystycznych) regulacji w tych sprawach. Co się zaś tyczy funkcjonariuszy i tajnych współpracowników SB, czyżby Romanowski proponował, by pytać ich o zgodę na ujawnienie ich danych pokrzywdzonym? To dopiero wydaje mi się absurdalne[5]!

Powoławszy się na art. 54 ustawy o IPN, Romanowski dokonuje przeskoku myślowego i stwierdza, że „jesteśmy w konflikcie z aż dwoma aktami prawnymi" – ustawą o ochronie danych osobowych oraz ustawą o ochronie informacji niejawnych. Otóż, po pierwsze nie jest to prawdą, po drugie zaś taki zarzut niejako z definicji nie ma sensu. W systemie prawnym bardzo często przepisy różnych ustaw, jeśli odczytać je dosłownie, wydają się pozornie wzajemnie sprzeczne, gdyż odmiennie regulują pewne kwestie. W takim przypadku znajdującą zastosowanie normę prawną ustala się w drodze wykładni, stosując m.in. znane reguły kolizyjne (*lex specialis derogat legi generali*, *lex posterior derogat legi priori*). Jest to abecadło, którego każdy student prawa uczy się na pierwszym roku na zajęciach ze wstępu do prawoznawstwa. Czyżby autor tego nie wiedział? Czynienie zarzutu jednej ustawie, że jest „w konflikcie" z inną, jest pozbawione sensu, właśnie dlatego, że oba akty prawne są równego rzędu i żaden nie ma „przewagi" nad drugim.

Co więcej, wbrew temu, co sugeruje Andrzej Romanowski, wykonywanie przepisów ustawy o IPN nakazujących podawanie pokrzywdzonym danych tajnych współpracowników i funkcjonariuszy SB wcale nie powoduje sytuacji sprzecznych – nawet pozornie – z ustawą o ochronie danych osobowych i ustawą o ochronie informacji niejawnych. Ustawa o ochronie danych osobowych mówi wprost, że dane osobowe mogą być przetwarzane (w tym udostępniane), jeżeli pozwalają na to przepisy prawa. Jedną z takich (wielu) szczególnych regulacji jest właśnie ustawa o IPN – i żadnej sprzeczności tu nie ma.

Romanowski zdaje się sugerować, że ujawnianie pokrzywdzonym nazwisk agentów i funkcjonariuszy SB stanowi naruszenie tajemnicy państwowej. Otóż dane te od marca 2002 r. przestały być tajne – i to wcale nie na podstawie ustawy o IPN, którą autor tak krytykuje, a na podstawie ustawy o ochronie informacji niejawnych, na którą wielokrotnie w swoim tekście z aprobatą się powołuje, i o której przestrzeganie tak się troszczy. Wyjątek stanowią nadal objęte tajemnicą państwową dane identyfikujące tajnych współpracowników SB, którzy byli czynni po wejściu w życie ustawy o ministrze spraw wewnętrznych z 1983 r. (nie dotyczy to wszakże tajnych współpracowników wojskowych służb specjalnych). Ich udostępnianie następuje na podstawie ustawy o IPN, traktowanej w tym przypadku jako *lex specialis*. Nie można więc mówić o łamaniu ustawy o ochronie informacji niejawnych.

Sprawą wartą osobnej dyskusji (już bez związku z artykułem Romanowskiego) jest zasadność utrzymywania klauzuli tajności w odniesieniu do danych TW czynnych po 1983 r. Data ta nie jest

[5] Szkoda, że polski ustawodawca kopiując w istocie rozwiązanie niemieckie, nie przejął także ostatniego zdania odnośnego przepisu ustawy o aktach Stasi, który stanowi wprost, że „interesy funkcjonariuszy i informatorów [Stasi] dotyczące utrzymania ich nazwisk w tajemnicy nie stoją na przeszkodzie ujawnieniu ich nazwisk [pokrzywdzonym]". Przecięłoby to spory na ten temat.

żadną cezurą z historycznego ani politycznego punktu widzenia. Dotyczy ona jedynie tego, że wówczas po raz pierwszy ustawowo upoważniono SB i MO do werbowania tajnych współpracowników (wcześniej odbywało się to bez żadnych podstaw prawnych). Wydaje się, że przy najbliższej możliwej okazji ta granica czasowa powinna zostać zniesiona, a dane TW działających do końca istnienia SB, czyli do maja 1990 r., powinny stać się jawne.

Za inny przykład „IPN-owskiego bezprawia" Romanowski uważa zawartą w ustawie o IPN definicję zbrodni komunistycznych. Przemilcza jednak, że taka konstrukcja prawna („czyny popełnione przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego [...] polegające na stosowaniu represji lub innych form naruszania praw człowieka") nie została wcale wymyślona w ustawie o IPN, a została przejęta z ustawy o Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Konstrukcja ta, aczkolwiek uprzednio odnosząca się tylko do tzw. zbrodni stalinowskich (czyli czynów popełnionych do końca 1956 r.), została wprowadzona do polskiego prawa karnego już w 1991 r. Czy wcześniej Andrzejowi Romanowskiemu nie przeszkadzała?

Koncepcję zbrodni komunistycznych autor nazywa „potworkiem prawnym" i stwierdza: „wykroczenie bądź występek może być zbrodnią, o ile tylko popełnił je komunista". Tu mamy do czynienia już nie z ignorancją autora, ale z ordynarną manipulacją. Po pierwsze, poglądy polityczne sprawcy nie są znamieniem zbrodni komunistycznej (liczy się sprawowana funkcja). Po drugie – i ważniejsze – cytując ustawową definicję zbrodni komunistycznej, Romanowski pominął jej ostatni człon, stanowiący wyraźnie, że za zbrodnię taką mogą być uznane jedynie „czyny stanowiące przestępstwa według polskiej ustawy karnej obowiązującej w czasie ich popełnienia". Wbrew kłamliwemu stwierdzeniu autora, wynika stąd, że wykroczenie nigdy nie może być uznane za zbrodnię komunistyczną. Sprawa ta pokazuje metody argumentacji Andrzeja Romanowskiego i w moim przekonaniu dowodzi jego złej woli.

Autor twierdzi, że konstrukcja zbrodni komunistycznej wprowadza nierówność wobec prawa. Nie ma racji, gdyż przestępstwa popełnione przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego są sądzone na podstawie tych samych przepisów co przestępstwa popełnione przez inne osoby, a sytuacja prawna oskarżonego w żaden sposób nie jest pogorszona. Zbiorcza kategoria zbrodni komu-

nistycznych wprowadzona została po to, by bieg ich przedawnienia liczył się od początku 1990 r. Dzięki temu nie unikają kary sprawcy przestępstw, którzy popełniali je w imieniu państwa komunistycznego i przez to państwo byli przez lata chronieni. Służy to właśnie realizacji zasady równości wobec prawa, bo żaden sprawca zbrodni nie powinien zostać bezkarny.

Romanowski odnosi się również do kwestii skuteczności działania Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Sugeruje, że powstanie IPN, kierującego się, jego zdaniem, logiką *quasi*-rewolucyjną (co to w tym przypadku znaczy?), nie wpłynęło w istocie na przyspieszenie ścigania zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy reżimu komunistycznego. Jest to twierdzenie jawnie fałszywe. Z dokładnymi danymi można się zapoznać w ogólnie dostępnym, corocznym sprawozdaniu Głównej Komisji. Ale nawet na podstawie doniesień prasowych widać, że pod rządami starej ustawy w latach 1991–1998, kiedy prokuratorzy Głównej Komisji byli mniej liczni i nie dysponowali uprawnieniami przysługującymi im dzisiaj, polskie sądy skazały kilkunastu zbrodniarzy stalinowskich (z Adamem Humerem na czele), podczas gdy w ciągu czterech lat istnienia IPN jego prokuratorzy wnieśli kilkadziesiąt aktów oskarżenia o zbrodnie komunistyczne.

Ujawnianie danych TW i funkcjonariuszy SB na żądanie pokrzywdzonych oraz pojęcie zbrodni komunistycznych są chyba jedynymi kwestiami, w których można podjąć merytoryczną polemikę z oskarżeniami autora o bezprawne działania IPN. W dalszej części artykułu Romanowski powtarza wielokrotnie te zarzuty już całkiem gołosłownie, bez wykazywania, jakie przepisy i w jaki sposób miałyby być przez IPN naruszane. Oskarża pracowników IPN o łamanie prawa, a Prezesa IPN o tolerowanie tego stanu rzeczy. Posuwa się do stwierdzenia, że działalność IPN jest sprzeczna z polską racją stanu. Insynuuje, że Prezes Instytutu lekceważy zasady praworządności. Nie tylko obraża w ten sposób Prezesa IPN oraz pracowników tej instytucji, ale w istocie rzeczy bezpodstawnie zarzuca im popełnianie przestępstw urzędniczych (niedopełnienie lub przekroczenie obowiązków). Nie wiem, czy rzucanie takich fałszywych oskarżeń wobec urzędników państwowych jest w obecnym stanie prawnym przestępstwem ściganym z urzędu, z pewnością jednak stanowi obrazę czci zainteresowanych. To zresztą nie jedyne twierdzenia autora, które odbieram jako potwarz.

Zupełnie niezrozumiały – by nie powiedzieć głupi – jest natomiast zarzut, że istnienie IPN narusza monteskiuszowski trójpodział władzy. Andrzej Romanowski stwierdza z oburzeniem, że Prezes IPN w niektórych przypadkach zastępuje władzę wykonawczą. Czyżby nie wiedział, że IPN jest z formalnego punktu widzenia urzędem państwowym, a jego Prezes, będąc organem administracji państwowej, jest częścią właśnie władzy wykonawczej? Funkcje archiwalne i śledcze IPN nie są niczym innym jak wykonywaniem owej władzy w tych dziedzinach w granicach określonych przez ustawę.

### *Casus* Henryka Karkoszy

Osią wywodów Andrzeja Romanowskiego jest sprawa Henryka Karkoszy. Rzecz przedstawia się następująco. Byli członkowie krakowskiego SKS jako pokrzywdzeni zapoznali się z dotyczącymi ich aktami SB. Analizując ich treść, doszli do wniosku, że jednym z tajnych współpracowników SB w ich środowisku był Karkosza. Korzystając ze swoich ustawowych uprawnień, zażądali od IPN ujawnienia tożsamości TW „Monika" i uzyskali informację, że był nim Henryk Karkosza.

Podobnie jak Andrzej Romanowski nie znam dokumentacji na ten temat i nie wiem, na jakiej podstawie Archiwum IPN dokonało takiego ustalenia. Niewątpliwie jednak IPN, udzielając takiej informacji, bierze odpowiedzialność za jej prawdziwość. Ciekawi mnie więc, na jakiej podstawie – nie dysponując wiedzą wynikającą z dokumentów – autor podważa

*a priori* ustalenie IPN. Porównywanie w tym przypadku wykonania ustawy o IPN ze sporządzaniem „listy Macierewicza" uważam za nieuczciwe, gdyż ta ostatnia akcja nie opierała się na ustawowej procedurze. Jest przy tym znamienne, że cytując art. 32 ustawy o IPN, Romanowski przemilczał jego istotne postanowienie, zastrzegające wyraźnie, iż dane tajnych współpracowników ujawnia się pokrzywdzonym jedynie wtedy, „jeżeli można je jednoznacznie określić na podstawie dokumentów danego organu bezpieczeństwa".

Kontrargumenty Romanowskiego w sprawie Karkoszy wydają się notabene dosyć słabe. Pierwszym zarzutem jest to, że fakt czyjejś agenturalnej współpracy ustala się na podstawie dokumentów esbeckich (w domyśle: niewiarygodnych). To stawianie sprawy na głowie. Oczywiście, akta SB należy traktować z najwyższą ostrożnością i stosować wobec nich rygorystyczne zasady krytyki źródłowej – ale w jakiej innej dokumentacji miałyby, zdaniem autora, znajdować się informacje na temat spraw agenturalnych? Po drugie, sam zainteresowany zaprzecza. Niestety, to jeszcze niczego nie dowodzi. Jak wynika z doświadczeń niemieckich (*vide* Timothy Garton Ash „Teczka"), zaprzeczenie było najbardziej typową reakcją ujawnionych tajnych współpracowników Stasi. Trzecim argumentem Romanowskiego jest dziennikarskie śledztwo Wojciecha Czuchnowskiego w „Gazecie Wyborczej", które nie przyniosło żadnego rozstrzygnięcia. Rzecz jednak w tym, że Czuchnowski (podobnie jak Romanowski i ja) nie zapoznał się ze stosownymi dokumentami. Nawiasem mówiąc, ten akurat dziennikarz wykazał się wyjątkową niekompetencją i niedbalstwem w korzystaniu z akt IPN, pisząc swoją książkę na temat procesu kurii krakowskiej w 1953 r., co osłabia zaufanie do jego rzetelności (*vide* miażdżąca recenzja z książki Wojciecha Czuchnowskiego *Blizna* pióra Wojciecha Frazika i Filipa Musiała, opublikowana w „Pamięci i Sprawiedliwości", nr 1/2003).

Powtórzę: nie wiem, czy Henryk Karkosza był agentem SB i nie twierdzę tego (ani nawet specjalnie mnie to nie interesuje). Być może jest tak, że – nawet zakładając najwyższą staranność archiwistów IPN – Karkosza padł ofiarą nieszczęśliwej pomyłki. To jednak nie powinno być argumentem przeciwko zasadzie, zgodnie z którą dane agentury i funkcjonariuszy SB są ujawniane pokrzywdzonym. Pomyłki – jak w każdej dziedzinie ludzkiej aktywności – niestety mogą i zapewne będą się zdarzać. Nie jest jednak wcale tak, że osoba pomówiona o agenturalność nie ma wcale możliwości obrony. Wbrew twierdzeniu Romanowskiego, Henryk Karkosza – czy ktokolwiek inny – wcale nie musi wykazywać swojej niewinności. Ustawodawca wziął pod uwagę możliwość „wypadków przy pracy", stwierdzając, że „za szkodę wyrządzoną obywatelowi przez pracownika Instytutu Pamięci w związku z działalnością Instytutu ponosi odpowiedzialność Skarb Państwa na zasadach ogólnych" (art. 32 ust. 4 ustawy o IPN). Jednocześnie jednak, odsyłając do „zasad ogólnych", ustawodawca uznał, że nie ma powodu, by pomówienia o agenturalną współpracę z SB traktować inaczej niż inne naruszenia dóbr osobistych. Osobom, które uważają się za niesłusznie pomówione, służy powództwo cywilne przeciwko pomawiającym, w tym również przeciwko Instytutowi Pamięci Narodowej, będącemu źródłem obciążających je informacji. W takim procesie to pomawiający muszą wykazać prawdziwość zarzutów, nie zaś pomówiony dowodzić swojej niewinności, a ocena przedstawionych dowodów leży w gestii niezawisłego sądu. Ustawodawca przewidział *expressis verbis* tę ewentualność, a nawet w takich przypadkach zwolnił zainteresowanych od kosztów sądowych. Oznacza to zarazem, że ustawodawca uznał za właściwą w tego rodzaju sprawach jedynie drogę procesu cywilnego. Jak dotąd, Henryk Karkosza nie złożył pozwu.

## Nierówność wobec prawa

Andrzej Romanowski twierdzi, że ustawa o IPN wprowadza nierówność obywateli wobec prawa. Ma na myśli uprawnienia pokrzywdzonych i „niepokrzywdzonych" dotyczące

dostępu do akt zgromadzonych przez IPN. Ten argument był już wcześniej podnoszony w debacie przed utworzeniem IPN. Należy się zastanowić, czy nierówność wobec prawa rzeczywiście występuje i na czym miałaby polegać ewentualna „równość" w tej dziedzinie.

Można wyróżnić cztery zasadnicze sytuacje: pokrzywdzonego, tajnego współpracownika SB, funkcjonariusza SB oraz kogoś, kto nie był obiektem zainteresowania SB. Ten ostatni przypadek nie stanowi problemu, gdyż takiej osobie po prostu nie ma czego udostępniać, skoro archiwum IPN z definicji nie posiada dokumentów na jej temat. Przypadek pokrzywdzonych również nie jest kontrowersyjny – mają oni możliwie pełne prawo wglądu w dotyczące ich dokumenty. Problemem jest oczywiście sytuacja TW i funkcjonariuszy SB. Zgodnie z obecnym stanem prawnym mogą oni otrzymać informację o dotyczących ich dokumentach, ale nie mają w nie wglądu, a funkcjonariusze SB mogą ponadto otrzymać kopie świadectwa pracy i opinii o służbie. Warunkiem skorzystania z tych uprawnień jest przyznanie się do swojej współpracy/służby w SB. Czy należy się tu dopatrywać nierówności wobec prawa?

O nierówności można mówić, gdy prawo w odmienny sposób traktuje osoby znajdujące się w takiej samej sytuacji. Sądzę, że sytuacja donosicieli/funkcjonariuszy SB i ich ofiar jest na tyle różna, iż uzasadnia to odmienne traktowanie tych kategorii osób, jeżeli chodzi o dostęp do dokumentów zgromadzonych w IPN. Być może się mylę, ale argument nierówności wobec prawa nie jest dla mnie przekonujący.

Nie znaczy to jednak, że wywody Romanowskiego w kwestii uprawnień dostępu do akt IPN są zupełnie pozbawione racji. Ma on słuszność, krytykując wyraźnie ułomną definicję pokrzywdzonego. Zgodnie z ustawą „pokrzywdzonym nie jest osoba, która została następnie funkcjonariuszem, pracownikiem lub współpracownikiem organów bezpieczeństwa państwa". Co prawda w drodze wykładni przyjęto, że status pokrzywdzonego nie przysługuje także osobie, która najpierw była TW/funkcjonariuszem SB, a potem (np. zerwawszy współpracę) sama stała się obiektem inwigilacji, ale wydaje się, że przy najbliższej nowelizacji ustawy o IPN sprawy te powinny zostać *explicite* ujęte w odpowiednich przepisach.

Można zauważyć, że w Niemczech dostęp byłych informatorów i funkcjonariuszy do dokumentów Stasi został uregulowany bardziej liberalnie niż w polskiej ustawie o IPN. Mogą oni przeglądać własne akta personalne, a w niektórych przypadkach nawet składane przez siebie doniesienia. Z drugiej strony umożliwienie dostępu do akt IPN tajnym współpracownikom SB podważyłoby sens ustawy lustracyjnej, będącej istotną częścią porządku prawnego. Konsekwencją takiej decyzji musiałoby być zatem powszechne ujawnienie tajnych współpracowników, podobnie jak to miało miejsce w Niemczech i w Czechach. Wszystkie te sprawy stanowią autentyczny problem i wymagają poważnej, spokojnej debaty. Zacietrzewiony głos Romanowskiego nie jest dobrym prognostykiem.

## „Tendencyjna historiografia"

Dokonując totalnej krytyki IPN, autor nie omija działalności badawczej i edukacyjnej Instytutu. Ten fragment jego filipiki nie wnosi wiele nowych elementów w stosunku do oskarżeń formułowanych pod adresem IPN z lewa i z prawa od początku istnienia tej instytucji. Jednym z nich jest zarzut, że IPN sprowadza pamięć narodową do dokumentów UB i SB. Jest to chwyt równie tani, co nieuczciwy, polegający na zestawieniu ustawowo określonego zakresu badawczego IPN z jego nazwą, nawiązującą do chlubnej tradycji działającego w latach czterdziestych pod kierownictwem Stanisława Płoskiego, a zlikwidowanego w okresie stalinowskim, Instytutu Pamięci Narodowej. Owszem, być może mniej byłoby kontrowersji, gdyby nazwa Instytutu brzmiała bardziej neutralnie, np. Instytut Historii Najnowszej. Czy jednak

rzecz tylko w etykietce? Dlaczego Romanowski nie chce zauważyć, że w swej działalności naukowej i edukacyjnej IPN stara się wychodzić poza przyciasne ramy badań nad zbrodniami i represjami i w istocie otwiera się na szersze zagadnienia historii politycznej i społecznej Polski lat 1939–1989, stając się *de facto* instytutem badania najnowszych dziejów Polski?

Autor kwestionuje zasadność połączenia w jednej instytucji pionu naukowego i śledczego. Poza niepopartym dowodami stwierdzeniem o instrumentalnym traktowaniu pracy historyków przez instytutowy pion śledczy, nie potrafi jednak uargumentować swojego stanowiska. Tymczasem, jeśli można coś IPN zarzucić, to właśnie zbytnią izolację obu pionów i zbyt mały zakres roboczej współpracy prokuratorów i historyków. Romanowski zapomina notabene, że przez cały okres powojenny Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce prowadziła również działalność naukową i dokumentacyjną – by przypomnieć tylko prace Szymona Datnera. Czy wartość tej spuścizny autor również podważa?

Tradycyjnym zarzutem formułowanym wobec Biura Edukacji Publicznej IPN jest „prawicowe odchylenie" i gloryfikowanie powojennego antykomunistycznego podziemia. To prawda, że w publikacjach IPN, ze względu na dotychczasowe zainteresowania zatrudnionych w BEP historyków, dużo miejsca poświęcano problematyce powojennego podziemia. Ale czy ten obraz był całkowicie jednostronny? To właśnie na jednej z konferencji IPN poruszono problem „bandycenia się" podziemia (opublikowane referaty Janusza Marszalca i Piotra Niwińskiego). To w „Biuletynie IPN" Jerzy Kułak opisał mordy na Białorusinach popełnione przez oddział partyzancki „Burego".

Dalsze zarzuty pod adresem publikacji IPN są zwykłym czepianiem się. W zbiorze relacji ze stanu wojennego nie zamieszczono bibliografii – a dlaczego miano by to uczynić? Miejsce bibliografii jest w monografii naukowej, ale nie ma powodu, by opatrywać nią wybór źródeł. Można wprawdzie zgodzić się z Romanowskim, że nie zaszkodziłoby opatrzyć publikowane tam relacje datami. Jest to jednak sprawa marginalna, zwłaszcza że relacje te były zbierane na potrzeby wspomnianego tomu i datuje je rok wydania książki.

Zdaniem Andrzeja Romanowskiego „Biuletyn IPN" uprawia „dydaktyczną, nierzadko natrętną publicystykę – najczęściej w formie wywiadów, co samo w sobie jest już dziwactwem". Taka krytyka, jeśli się jej nie uzasad-

nia, ma podobną wartość co np. nazwanie artykułu Romanowskiego wrednym paszkwilem, także bez uzasadnienia. Najbardziej intrygująca jest jednak negatywna opinia autora na temat wywiadów „Biuletynu". Owszem, ich poziom merytoryczny jest rozmaity, ale dlaczego Romanowski uważa tę formę za dziwactwo? Prasa periodyczna co chwila przynosi wywiady z naukowcami, gdyż jest to dobra forma popularyzacji wiedzy. Co w tym osobliwego?

Swoje zarzuty wobec BEP Romanowski podsumowuje cytowanymi z wyraźną aprobatą słowami Jerzego Wiatra, który ostrzegał przed upolitycznieniem IPN i forsowaniem „jednostronnej wizji historii najnowszej zgodnej z politycznym obstalunkiem". Gdzie tu logika? Jeśli z jednej strony zarzuca się IPN-owi „prawicowe odchylenie", z drugiej zaś sugeruje realizację politycznych zamówień, to biorąc pod uwagę, że cały okres dotychczasowego istnienia Instytutu przypada na rządy postkomunistów, nasuwa się pytanie: na czyj „obstalunek" IPN gloryfikuje antykomunistyczne podziemie – Leszka Millera? Longina Pastusiaka? Ryszarda Jarzembowskiego?

Wracając do tonu poważniejszego, trzeba stanowczo stwierdzić, że jednym z największych sukcesów IPN jest zachowanie politycznej neutralności. Jeśli Instytut bywa bity ze wszystkich stron, to znaczy, że prawdopodobnie udaje mu się utrzymać niezależność w swojej działalności.

Na tle całego wywodu Romanowskiego jego krytyka pod adresem BEP IPN brzmi jeszcze całkiem umiarkowanie. Autor „obawia się" i „niepokoi" o kierunek prac naukowych IPN. W zakończeniu artykułu porzuca jednak pozory troski i obiektywizmu. Pisze wprost – znów bez uzasadnienia – o tendencyjnej historiografii uprawianej w IPN.

Autor stawia naukowcom z IPN jeszcze jeden zarzut, tyleż poważny, co fałszywy. Pisze mianowicie: „Dziś pracownicy IPN, ujawniając w swych publikacjach – samowolnie, bez procedury odtajnienia – kolejne wykryte przez siebie nazwiska i pseudonimy, funkcje i dokumenty, nieustannie łamią ustawy o ochronie danych osobowych i o ochronie informacji niejawnych". Jest to oskarżenie po prostu kłamliwe. Wszystkie dokumenty z zasobu IPN udostępniane do celów naukowych – tak historykom z IPN, jak i spoza Instytutu – przechodzą odpowiednie procedury i nie są objęte klauzulami tajności (o czym świadczą odpowiednie pieczęcie na teczkach archiwalnych). Nie ma też mowy o naruszaniu w publikacjach naukowych ustawy o ochronie danych osobowych. Zgodnie bowiem ze stanowiskiem Generalnego Inspektora Ochrony Danych Osobowych publikacje w prasie i książkach, zawierające dane osobowe w formie nieuporządkowanej, nie stanowią przetwarzania danych osobowych w zbiorze, a więc nie podlegają przepisom ustawy o ochronie danych osobowych (w odniesieniu zaś do danych osób nieżyjących przepisy tej ustawy w ogóle nie znajdują zastosowania).

Jeżeli zaś chodzi o sam fakt zamieszczania w publikacjach naukowych – stanowiących z punktu widzenia prawa informacje jawne – nazwisk bohaterów opisywanych wydarzeń, w tym pokrzywdzonych, oraz funkcjonariuszy SB czy tajnych współpracowników, to w sposób oczywisty muszą się one tam znajdować. Nie ma bowiem historii bez uczestniczących w niej ludzi. Jeśli więc meritum pracy naukowej tego wymaga, nazwiska agentów SB są i będą w niej umieszczane. Nie można opisywać działań aparatu bezpieczeństwa, udając jednocześnie, że nie miał on agentury.

## „Zbrodnia na polskiej archiwistyce"

Romanowski *per fas et nefas* zwalcza pomysł zgromadzenia w IPN archiwaliów wytworzonych przez komunistyczne organy bezpieczeństwa państwa. W tym fragmencie swych wywodów jest chyba najbardziej niespójny i najczęściej posługuje się fałszem, by wprowadzić czytelnika w błąd. Krucjata przeciwko archiwum IPN wydaje się wręcz obsesyjna, a argumentacja – absurdalna.

Podważając sens istnienia IPN, autor pisze: „Czyżby po 1989 r., a przed powstaniem IPN historycy nie korzystali z tajnych akt? Ależ korzystali, jak najbardziej! Uwzględniali procedury, zwracali się z oficjalną prośbą o odtajnienie, otrzymywali zgodę – i pracowali. Komu przeszkadzał ten trwający parę lat stan, jakie właściwie utrudnienia rodził?". Słowa te świadczą albo o piramidalnej ignorancji Andrzeja Romanowskiego, albo – co bardziej prawdopodobne – o próbie oszukania czytelnika.

W rzeczywistości dostępność akt wytworzonych przez komunistyczne służby specjalne była przed powstaniem IPN znikoma. Zależała ponadto od sytuacji politycznej i kaprysów aktualnych szefów UOP i ministrów spraw wewnętrznych. Akta udostępniano „po uważaniu", a badacze nie mieli dostępu do pomocy ewidencyjnych (inwentarzy archiwalnych). Byli zdani na wybór dokonany przez resortowych archiwistów. Przez długi czas nie istniały też żadne szczegółowe procedury, regulujące zasady udostępniania archiwaliów. Zarządzenie szefa UOP w tej sprawie zostało wydane dopiero w 1997 r. Niektórych kategorii akt (np. akta operacyjne SB, akta WSW po 1956 r., akta wywiadu wojskowego) nie udostępniano w ogóle.

Śmiesznie mała była „przepustowość" tych archiwów. W czytelni naukowej Archiwum MSW były, jeśli dobrze pamiętam, cztery miejsca, a w Archiwum UOP chyba o dwa więcej. Na udostępnienie akt czekało się już nie tygodniami i miesiącami, ale latami. Ja sam czekałem na udostępnienie w UOP akt dotyczących sprawy Henryka Hollanda przez trzy lata. Kiedy po powstaniu IPN wróciłem do tego tematu, okazało się, że w Archiwum UOP udostępniono mi jedynie połowę istniejących dokumentów. O istnieniu pozostałej części nawet mnie nie poinformowano. Gdybym – z różnych powodów – nie opóźnił pisania swojej książki o sprawie Hollanda, napisałbym – bezwiednie – pracę w dużej mierze nieprawdziwą, a w każdym razie niepełną.

Na porządku dziennym były, różnie motywowane, odmowy udostępniania archiwaliów. Mnie samemu Archiwum UOP odmówiło przed dziesięciu laty udostępnienia dokumentów na temat harcerstwa. Ustne uzasadnienie brzmiało: nie, bo nie. Najczęściej wykręcano się jednak nawałem pracy, jako że „kolejka osób oczekujących na realizację wniosków naukowo-badawczych systematycznie się powiększa. Na pro-

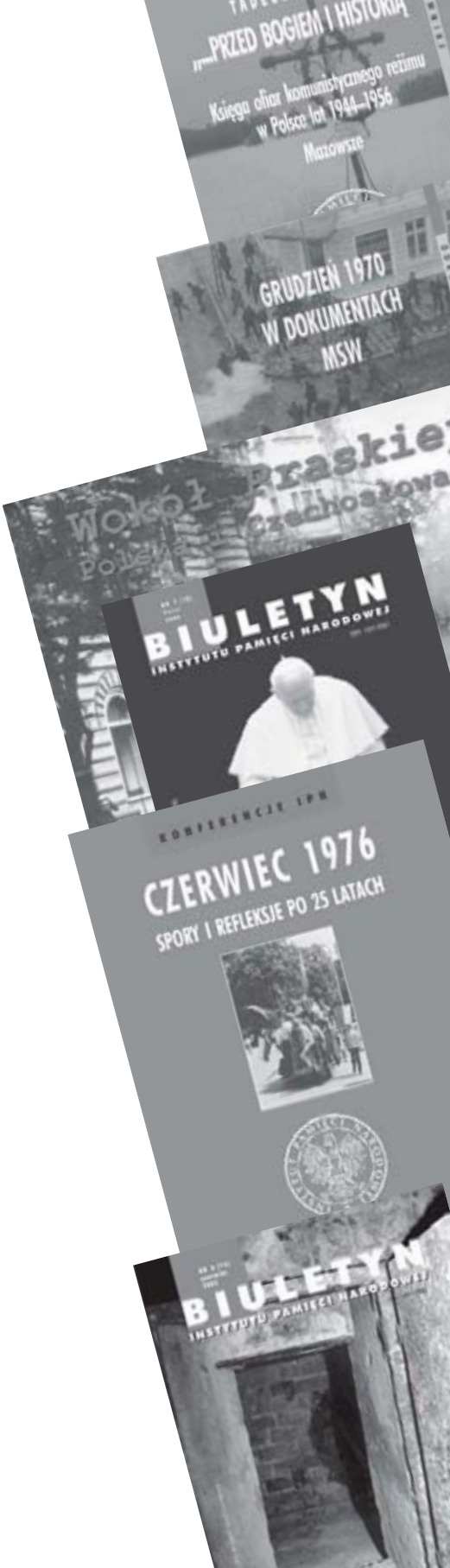

wadzenie intensywnych prac związanych z uporządkowaniem i opracowywaniem zasobu archiwalnego nie pozwala nam zarówno skromna obsada personalna, jak również ogrom korespondencji napływającej do BEiA UOP. Kwerenda źródłowa we wnioskowanej przez Pana Profesora sprawie i późniejsze typowanie dokumentów oraz ich przygotowywanie do udostępnienia wymagałyby zaangażowania wielu osób, co w chwili obecnej nie jest możliwe"[6]. Jeśli Andrzej Romanowski twierdzi, że przedstawiony wyżej stan rzeczy nikomu z historyków nie przeszkadzał – to po prostu mówi nieprawdę.

Pożądaną alternatywą dla utworzenia archiwum IPN jest dla Romanowskiego przekazanie akt służb specjalnych PRL do Archiwum Akt Nowych. Zapewniłoby to, jego zdaniem, „komplementarność" (cokolwiek to znaczy) zbiorów achiwalnych. Jest to postulat demagogiczny. AAN od 1990 r. nie uporało się z uporządkowaniem i pełnym udostępnieniem czytelnikom kluczowego dla badań nad powojenną historią Polski zespołu KC PZPR, liczącego ok. 1300 metrów bieżących. W jaki sposób to centralne archiwum miałoby „przetrawić" akta przekazane do IPN, które w samej Warszawie liczą 28 tys. m.b.?

Zaskakujące jest aż trzykrotne powrócenie przez autora do kwestii karencji archiwalnej, której poddane byłyby akta komunistycznych organów bezpieczeństwa, gdyby przekazano je do AAN. Najwyraźniej Romanowskiemu bardzo zależy, by akta dotyczące ostatnich kilkunastu lat PRL nie były udostępniane (gdyby przyjęto standardową klauzulę 30 lat, dziś dostępne byłyby dokumenty wytworzone do 1973 r.). Ten z kolei postulat jest anachroniczny. Przygotowany przez Naczelną Dyrekcję Archiwów Państwowych projekt nowej ustawy archiwalnej postuluje zniesienie karencji w ogóle.

W dalszej części swego wywodu autor krytykuje obecny stan rzeczy i działalność Archiwum IPN. Twierdzi, że powstanie IPN jako placówki „historyczno-edukacyjno-śledczo-politycznej" (dlaczego pomija przymiotnik „archiwalna"?) przyczyniło się do rozproszenia archiwaliów. Jest to zarzut całkowicie niedorzeczny. Efektem powstania IPN było wszak scalenie w jednej instytucji dokumentacji służb specjalnych i organów represji PRL, która była dotychczas rozproszona w różnych archiwach. Powstał zasób archiwalny ukształtowany w sposób spójny pod względem merytorycznym. Co więcej, historycy uzyskali możliwość korzystania m.in. z dokumentacji wcześniej zupełnie niedostępnej, która była przechowywana np. w archiwach zakładowych sądów i prokuratur. O istnieniu niektórych zespołów i kolekcji – dziś udostępnianych w IPN – historycy nawet nie wiedzieli.

Niezrozumiały jest zarzut polityzacji archiwów, cokolwiek autor ma na myśli. Należy zauważyć, że to właśnie ustawa o IPN daje gwarancje apolityczności (Prezes Instytutu nie podlega innym organom władzy, a jego pracownicy mają zakaz należenia do partii politycznych, a nawet związków zawodowych). Jeżeli Romanowski postuluje przekazanie akt służb specjalnych PRL sieci archiwów państwowych z AAN na czele, to trzeba przypomnieć, że właśnie one podlegają – za pośrednictwem ministra kultury – Radzie Ministrów, a więc ciału z definicji na wskroś politycznemu. Z kolei twierdzenie, że kadrę archiwistów IPN dobrano na zasadach politycznych lub towarzyskich, jest zwykłym pomówieniem kierownictwa Instytutu. Na jakiej podstawie autor tak sądzi?

Andrzej Romanowski oskarża Archiwum IPN o swoistą zachłanność. Jego zdaniem, mimo że IPN nie ma gdzie pomieścić 75 km już posiadanych dokumentów, chce jeszcze przejąć

[6] Cytat autentyczny z listu Archiwum UOP do prof. Andrzeja Paczkowskiego z 1998 r. w sprawie odmowy udostępnienia dokumentów na międzynarodową konferencję w Warszawie nt. upadku komunizmu. Treść listu podano do wiadomości uczestników tej konferencji.

z AAN 20 km akt. To już kosmiczne bzdury. Cały zasób archiwalny IPN w skali kraju liczy 80 km akt. Z danych Romanowskiego wynikałoby, że IPN prawie w ogóle nie ma pomieszczeń magazynowych, co oczywiście nie jest prawdą. Natomiast wielkość całego zasobu archiwalnego AAN liczy ok. 18 km akt. W jaki sposób IPN miałby stamtąd przejąć 20 km akt?

W kolejnych wywodach Romanowski dopuścił się manipulacji cytatami z wywiadu udzielonego „Biuletynowi IPN" przez dyrektorów Archiwum IPN Bernadettę Gronek i Leszka Postołowicza (nr 4/2002). Wyrażając – moim zdaniem faryzejską – troskę o interesy historyków korzystających z zasobu IPN, zacytował opis skomplikowanej procedury przygotowania akt do udostępnienia. Rzecz w tym, że wypowiedź pani Gronek dotyczyła udostępniania akt pokrzywdzonym (tu istotnie procedura jest bardziej złożona), a nie badaczom. Podobnie informacja o ośmiu miejscach w czytelni IPN w Warszawie dotyczy czytelni akt tajnych, z której korzystają pokrzywdzeni, nie zaś pracowni naukowej liczącej miejsc kilkanaście. Oczywiście w skali kraju liczba miejsc w czytelniach IPN jest wielokrotnie większa. Romanowski krytykuje również przepisy ustawy umożliwiające pokrzywdzonym zastrzeżenie swoich danych osobowych, argumentując, że to przeszkoda dla badań naukowych. Popada tym samym w sprzeczność, skoro wcześniej grzmiał, że dane osobowe zawarte w aktach SB nie są w żaden sposób chronione.

Trafnie natomiast autor krytykuje art. 34 ustawy o IPN, dotyczący anonimizacji danych dotyczących pokrzywdzonego na jego żądanie. Znaczenie tego przepisu nie wydaje się jasne. Romanowski interpretuje to jako nakaz trwałego wymazania danych w oryginalnym dokumencie i nazywa to zbrodnią na polskiej archiwistyce. Przemilcza jednak wypowiedź pani Gronek, którą musi znać z cytowanego wcześniej wywiadu, że żadne ingerencje w oryginalne dokumenty nie będą miały miejsca.

Chwilę później Andrzej Romanowski dokonuje kolejnej manipulacji cytatami. Przywołuje przepis art. 33 ustawy o IPN, uprawniający pokrzywdzonych do dołączania do dokumentów, które ich dotyczą, własnych uzupełnień, sprostowań i wyjaśnień. Następnie zestawia ten przepis z wyrwaną z kontekstu wypowiedzią Leszka Postołowicza, że „wykorzystywanie wiedzy pokrzywdzonych o ich donosicielach »nie należy do zadań IPN«". Interpretując te słowa jako zapowiedź zignorowania przez Archiwum IPN art. 33 ustawy, Romanowski oskarża pracowników IPN o „psucie" i tak złej ustawy. W rzeczywistości pan Postołowicz miał na myśli to, że IPN nie zamierza w żaden sposób „grać" pochodzącą od pokrzywdzonych wiedzą. Pani Gronek natomiast natychmiast dopowiedziała, że „Pokrzywdzony ma jednak prawo składać różne wnioski, oświadczenia, a my mamy obowiązek dołączania ich do jego akt". Nie ma więc wątpliwości, że dyrektorzy BUiAD zamierzają przestrzegać wspomnianego przepisu. To jednak Romanowski przemilczał.

## Rozbić IPN!

Na początku artykułu Andrzej Romanowski powołuje się na swój tekst ze stycznia 1999 r., w którym już wtedy ostrzegał przed niebezpieczeństwami „dzikiej lustracji". Porównanie obu tekstów pokazuje, że obecnie niemal w całości powtórzył argumenty sformułowane ponad półtora roku przed faktycznym powstaniem IPN. Podobna jest też temperatura wypowiedzi w tych artykułach. Oznacza to, że Andrzej Romanowski był *a priori* przeciwnikiem powstania IPN i poglądów nie zmienił. Dziś w sposób niezawoalowany wzywa do rozbicia Instytutu Pamięci Narodowej: „Tylko decyzje radykalne mogą zapobiec dalszemu bezprawiu". Romanowski oskarża IPN o wszystkie możliwe grzechy i stara się zdezawuować tych, którzy na temat Instytutu mają odmienną opinię.